

Musimy mieć grubą skórę, ale wewnątrz zachować wrażliwe

Łukasz Kaczyński: - Niebawem pani związki ze Szkołą Filmową złączą się rozprężyć i przyjdzie się pożegnać z bezpieczeństwem, jakie daje. Pojawił się już lęk, stres związany z rzuceniem się na głęboką wodę aktorskiego zawodu?

Zuzanna Zielińska: - Taki lęk pojawia się chyba zawsze, gdy coś się kończy bądź zaczyna. Wydaje mi się, że zwłaszcza my - absolwenci Wydziału Aktorskiego - możemy czuć się bardziej narażeni na stres niż koledzy z reżyserii czy sztuki operatorskiej. Nie mamy tak szerokiego pola manewru - możemy wysłać nasze CV i portfolio do teatrów, zdjęcia do castingów, ale nie do końca mamy wpływ na efekt tych działań. W castingu filmowym czy teatralnym startuje często sto dziewczyn, a rywalizujemy nie tylko z absolwentami państwowych uczelni, ale też z osobami bez wykształcenia. Konkurencja jest bardzo duża, a ciekawych castingów mało.

Czuje się pani przygotowana, po latach edukacji, do tego, aby radzić sobie samodzielnie i czy jest jakiś plan B?

- Stale rozmawiamy o zagrożeniach. O tym, że do sprawiedliwych zawodów aktora nie należy i trzeba mieć grubą skórę, ale wewnątrz wrażliwe. Nie dowiemy się jednak, jak to jest, póki nie wyjdziemy ze szkoły i nie zderzymy się z realiami aktorskiego życia. Może wtedy pojawią się propozycje. Jeśli nie uda się zacząć w teatrze, filmie, serialu, trzeba będzie samemu organizować sobie zajęcia. Każdy powinien zdawać sobie sprawę, że zatrudnienie samo się nie znajdzie, a już poszukiwanie to ciężka praca. Jestem osobą, która nie czeka, tylko działa. Staram się dowiadywać, rozmawiać, edukować i wchodzić w różne projekty z pełnym zaangażowaniem.

Dlaczego w ogóle wybrała pani ten, jak sama mówi, niesprawiedliwy zawód?

- Moi rodzice są łódzkimi restauratorami. Mogłam edukować się w tym kierunku bądź studiować kierunki związane z biznesem, aby pójść w ich ślady. Ja jednak zawsze idę trochę pod prąd, taką mam naturę. W aktorstwie fascynuje mnie to, że każdy pokaz tego samego spektaklu niemal zawsze czymś się różni. Jest wypadkową różnych energii pojedynczych aktorów oraz sytuacji życiowych. Właściwie od dziecka wiedziałam, że chcę iść tą drogą. Mniej może myślałam o zmianach, które teraz szybko następują w tym zawodzie. Ale mam też oczywiście swój plan B, C, a nawet D.

Chyba mało kto wie, że pani tata też kiedyś chciał iść tą drogą. Pani niejako realizuje jego marzenia.

- Tata rzeczywiście miał takie aspiracje, zdawał do „filmówki” trzy razy. Wtedy egzaminy wyglądały zupełnie inaczej, ale chyba dobrze dla niego, że się nie dostał. Z powodzeniem kontynuuje rodzinne tradycje. Kocham go za to, że zawsze bardzo wspiera mnie w moich zamierzeniach. Gdy powiedziałam, że chcę zostać aktorką, jego pierwszą reakcją było: „Jedź do Stanów Zjednoczonych, tam możesz uczyć się od najlepszych!” Jeszcze przed maturą miałam półroczny epizod w Lee Strasberg Theatre and Film Institute w Nowym Jorku. Po maturze zdawałam do „filmówki” i udało mi się dostać za pierwszym razem.

Strasberg był jednym z krzewicieli metody Stanisławskiego w USA, przez jego szkołę przeszli m.in. Robert de Niro, Al Pacino, Dennis Hopper, Scarlett Johansson, Uma

Thurman. Jak wygląda tam edukacja i jak się ma do tej proponowanej w Polsce, w Łodzi?

- W naszej szkole metoda Stanisławskiego nie jest jedyną ani wiodącą, poznajemy ich wiele. To cudowne, że w programie jest dużo warsztatów i spotkań z wieloma osobowościami. Od samego początku inspiruje się nas do kooperacji z młodymi producentami, reżyserami czy operatorami lub studentami tych wydziałów - jesteśmy jedyną szkołą w Polsce, która łączy w programie te branże. Jeśli sam czegoś chcesz i co najważniejsze, wierzysz w to, próbuj to osiągnąć.

Jak pracowała pani nad rolami w dyplomowej „Beczce prochu” z Małgorzatą Bogajewską? Spektakl ten wymaga szybkiego stworzenia kompletnej, przekonującej roli i za chwilę wyjścia z niej, by pojawić się po pewnym czasie w innej.

- ... i jeszcze do tego jesteśmy cały czas widoczni na scenie! Zarówno jak przygotowujemy się do roli, jak i wówczas, gdy z niej wychodzimy. Małgorzata Bogajewska nie prowadziła z nami długich analiz. Po tygodniu czytania tekstu i rozmów wchodziliśmy na scenę i improwizowaliśmy pod jej kierunkiem. Gram matkę, która chroni swojego syna oraz rolę kobiety, która spotyka swojego kochanka przyznającego się do zabicia jej narzeczonego sprzed kilku lat. Są to trudne stany emocjonalne, można powiedzieć graniczne, ale spotkanie z nimi jest ciekawsze niż prześlizgnięcie się przez lekkie tematy. Dużo starań włożyliśmy, by spektakl nie był za mocny, aby widz to wytrzymał. Bogajewska uczyła nas, byśmy byli bardzo czujni na siebie. Gdy często gra się spektakl, można w rolę wejść automatycznie, ale przy improwizacjach efekt często jest niespodzianką, jest niepowtarzalny. Nasza reżyser zostawiła nam margines wolności w scenach. Najważniejszy jest temat, z którym wchodzimy na scenę oraz partner - gra z nim, czujność na niego.

Improwizacje są też chyba pomocne w zajęciach teatralnych dla dzieci, które zainicjowała pani w Teatrze Wielkim, a potem w Łódzkim Domu Kultury?

- Uwielbiam dzieci. Zawsze udaje nam się nawiązać bezpośrednią więź. Jest w nich niesamowita prawda i niepowtarzalność, które kocham w teatrze. Zajęcia prowadziłam razem z koleżanką z roku Dianą Krupą. W Teatrze Wielkim łącznie było sto osób, w wieku od trzech do piętnastu lat, i trzeba było coś im zaproponować. Dużo dzieci starszych nie umie krzyczeć, wydobywać z siebie swojego prawdziwego głosu. Wszystkiego da się nauczyć i wyćwiczyć. Im wcześniej się zacznie, tym łatwiej jest ustawić świadomość ciała i świadomość głosu.

O młodym pokoleniu mówi się, że ma zdecydowane poglądy i je wyraża, nie uznaje żadnego autorytetu, a jednocześnie nadal nie dość wielu młodych aktorów angażuje się w działalność społeczną, związkową, na przykład przez Koło Młodych Związku Artystów Scen Polskich, by próbować zmienić status swego zawodu. Jakie są według pani tego przyczyny?

- Myślę, że bardzo ważne są wzory wyniesione z domu i zaszczepione w dzieciństwie. Jeśli rodzice popychają dzieci ku takim działaniom, to przynosi później owoce. W przedszkolu na deskach Teatru Wielkiego i Teatru Muzycznego uczestniczyłam w przedstawieniu „Kopciuszek” w ramach akcji charytatywnej - wpływy z biletów przekazywano szpitalom i domom dziecka. W podstawówce szukałam zajęć aktorskich - i w Łódzkim Domu Kultury odnalazłam panią Teresę Radzikowską oraz jej Teatr Pod Lupą, przedstawiłam się i powiedziałam, że chcę działać. Pracowałam z osobami o wiele starszymi, które na przykład już przygotowywały się do egzaminów aktorskich. Takie poszerzanie horyzontów często przynosi efekty. Zapewne mają na to również wpływ zmieniające się czasy. I samorealizacja, którą promuje współczesny świat, wskazujący i przekonujący, że wiele można zrobić samemu. Młodzież staje się coraz bardziej zamknięta na uczucia i na innych ludzi. Stąd pewnie tak mały zapał do działalności społecznej. Dlatego uważam, że trzeba działać i myśleć

pozytywnie. Wyznaczać sobie kolejne cele i je realizować.